



Maj 1996

Już z korytarza słyszałam dzwonek telefonu i w pośpiechu otwierając drzwi mieszkania, upuściłam siatkę z zakupami. Nie zważając na toczące się po schodach ziemniaki, wpadłam do kuchni i podniosłam słuchawkę. To była Patrycja. Dawno nie miałyśmy ze sobą kontaktu, bo wyjechała na kilka miesięcy do Stanów, gdzie pracowała jako opiekunka do dzieci. Teraz wróciła do Polski i stęskniona za jazdą konną, namawiała mnie gorąco na wspólny wyjazd w Bieszczady. Burzliwa rozmowa, przeplatana wszystkimi możliwymi wątkami naszego życia z ostatniego półrocza, zakończyła się niespodziewanie, bo właśnie w tym momencie odłączono mi telefon za niezapłacony rachunek. Sygnał umilkł na dobre i nie pozostało mi nic innego, jak tylko pojechać do Patrycji i dopytać o szczegóły jej pomysłu.

Było już późno i w tramwaju jechało niewiele osób. Cały tył wagonu był wolny, z wyjątkiem jednego siedzenia, na którym drzemała jakaś brudna kobieta ubrana w łachmany. Bił od niej okropny zapach i stało się dla mnie jasne, dlaczego jest wokół niej tyle miejsca. I dlaczego pozostali pasażerowie ze złośliwym zaciekawieniem patrzyli, jak jeszcze tego nieświadoma, zmierzam w jej stronę. Ale jakoś głupio mi było teraz zawrócić, tym bardziej że ona nagle otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie, ukazując pojedyncze zniszczone zęby. Odważemniłam uśmiech, a ona sięgnęła do jednego ze swoich tobołków i dała mi kiczowaty święty obrazek. Na odwrocie było napisane: „Nie trza mi domu, tylko serca. Klara”. Podziękowałam i poczęstowałam ją kanapką z serem, która została mi z pracy, bo z tego zaaferowania nie wypakowałam torebki. Nawet nie pomyślałam, że mogłaby odmówić albo zapytać, dlaczego sędzę, że ma ochotę na mój chleb z rana. I że mogłabym wtedy poczuć się niezręcznie. Kobieta jednak pogłaskała mnie po rękę i wysepleniła, że trzeba wierzyć w to, że jak będę głodna, to i mnie ktoś poratuje chlebem. Zabrzmiało to tak patetycznie, że w tych okolicznościach wydawało się aż groteskowe. Ludzie gapił się na nas i wręcz miałam wrażenie, że niektórzy dawno już powinni byli wysiąść, ale wolą przyglądać się tej scenie. Było mi wstyd, że z odrazą myślałam o brudnej, śmierdzącej dłoni, która mnie dotknęła, i o cuchnącym oddechu bezdomnej. Ale jednocześnie strzeliłam w gapiów spojrzeniem: „Patrzcie! Było mnie na to stać”.

Gdy wysiadałam z tramwaju, dostrzegłam Patrycję na przystanku po przeciwnej stronie ulicy. Chyba obydwie wpadłyśmy na ten sam pomysł.

Uścisnęłyśmy się serdecznie i ze śmiechem najpierw ustalałyśmy, dokąd pójdziemy sobie na lody. Tyle czasu się nie widziałyśmy, a teraz potrafiłyśmy tylko mówić o dzisiejszym dniu, ostatnich trzydziestu minutach, o naszych fryzurach i nowych ciuchach. Nawet zapytała mnie o telefon do znajomej kosmetyczki. To wszystko zajęło nam sporo czasu, a gdzie reszta? To chyba tak szybko się nie skończy. Trzeba się nagadać.

Gdzieś tak około drugiej w nocy zaczęłyśmy wspominać nasze

zeszłoroczne wakacje z końmi i wreszcie dotarliśmy do tematu: Bieszczady.

* * *

Wzięłam zaległy urlop. Tym razem zaplanowałyśmy dziesięciodniowy pobyt. Niestety, skończyły się dobre czasy, kiedy to miało się dwa miesiące wakacji. Patrycja była w lepszej sytuacji pod tym względem, ale za to po powrocie z Bieszczad czekało ją poszukiwanie pracy. Cieszyła się jednak z tego, że dzięki pracy w Stanach mogła sobie teraz pozwolić na taki wyjazd. Oznajmiła, że pracuje się po to, żeby czerpać większą radość z wypoczynku... i ona nie zamierza się na tym polu ograniczać. Zaimponowała mi tym odważnym podejściem do sprawy. Wysupłałam moje uciulane na czarną godzinę grosze i też przeznaczyłam je na swoje wakacyjne kieszonkowe. Zasadniczo wystarczyła mi sama świadomość swobody finansowej, żeby się w pełni rozluźnić psychicznie. Nawet nie naruszyłam tej dodatkowej kwoty. Inna rzecz, że tam gdzie zamieszkałyśmy, nieszczęśliwie było na co te pieniądze wydawać. Najwięcej nas kosztowało paliwo i wynajęcie przyczepy. Za noclegi nie płaciłyśmy, a za wyżywienie policzono nam naprawdę niewiele.

Patrycja nie zabrała w tym roku swojego konia. Smukłonogi, lubiący szybkość i przestrzeń Dagmar nie nadawał się na górskie szlaki. Idealne do tego były Pionier i Kulka, huculy, które niedawno kupił ojciec Patrycji. Zasadniczo chciał tylko jednego konia, prawdziwego hucula. Kulka została wzięta jako bezimienna, okropnie zapasiona przyjaciółka Pioniera. Konie tak były ze sobą związane, że właściciel sprzedał je po atrakcyjnej cenie „w pęczku”. Choć Kulka żadnych dokumentów na swoje pochodzenie nie miała, pasowała charakterem i pokrojem do rasowego konika górskiego. Przyjęło się więc mówić na tę parę „huculy”. Kiedy grubaska zaczęła chodzić pod siodłem, w mgnieniu oka straciła zbędne kilogramy i wkrótce jej były właściciel żałował, że tak łatwo pozbył się łagodnego, dobrze ułożonego, zgrabnego wierzchowca.

Droga nie była łatwa. Żadna z nas nie miała doświadczenia w wielogodzinnym prowadzeniu samochodu. Szczerze mówiąc, tyl-

ko Patrycja miała prawo jazdy na przyczepę, ale sprawiedliwie się zmieniałyśmy za kółkiem, choć może nie było to najrozsądniejsze. Do tego wszystkiego padało. I to nie była jakaś tam sobie mżawka. To była nieustająca ulewa, która ograniczała widoczność oraz zmuszała do jeszcze wolniejszej i ostrożniejszej jazdy. Widząc białą, gęstą firanę deszczu, zastanawiałyśmy się, kiedy i czy w ogóle trafimy na miejsce. Szczęśliwie, kiedy minęłyśmy Lesko, niebo się przejaśniło. Zupełnie nieprzyzwyczajone do nieustannych wiraży i serpentyń, obawiając się o nasze konie, posuwałyśmy się w tempie około dwudziestu kilometrów na godzinę. Inni kierowcy odgrążali nam się na rozmaite sposoby, bo sezon turystyczny już trwał i ruch był wzmożony. Stres spalił obiad, który zjadłyśmy jakiś czas temu na postoju, i teraz nie mogłyśmy się doczekać końca podróży. Wreszcie, około osiemnastej, zaparkowałyśmy przed domem otoczonym zielonym płotem. Dodatkowym punktem orientacyjnym, jaki podał nam ojciec Patrycji, była altanka z pergolą, stojąca w cieniu ogromnej lipy. To tutaj.

Nacisnęłam klakson, żeby zapowiedzieć nasz przyjazd, i wysiadłyśmy z samochodu, oczekując na pojawienie się gospodyni. Trochę zaniepokoiła nas pustka i cisza w obejściu. Nie weszłyśmy na teren gospodarstwa, bo zaraz przy bramie stała buda, a w niej leżał duży pies. Nie wiedziałyśmy, jak długi ma łańcuch, a właściwie, czy w ogóle jest uwiązany. Najwyraźniej nie był w ogóle nami zainteresowany, chyba nawet spał. Ale lepiej nie ryzykować.

Minął kwadrans i usłyszałyśmy kobiecy głos, dobiegający zza zakrętu drogi, którą przyjechałyśmy:

– Dalej, no, Krasula, idziesz! Dalej!

To była pani Łucja Bieniek, na którą czekałyśmy. Prowadziła dwie krowy z pastwiska na wieczorne dojenie. Aż przystanąła, tak się zdziwiła na nasz widok przed swoją bramą. Zbiło nas to z tropu.

– Dzień dobry! Jesteśmy – powiedziała z wahaniem Patrycja.

– A do kogo?

– No, ojciec wysłał telegram, że przyjadę z koleżanką na dwa tygodnie. Jestem Patrycja. A to Magda.

– Dzień dobry – przywitałam się – chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Pani się nas nie spodziewała?

– Aaa! Teraz sobie przypominam! – zawołała, a my odetchnęliśmy z ulgą – Tak, przepraszam, wejdźcie, dziewczyny! Zapraszam. Zdrożone, a ja was tu trzymam. Oj, no to się narobiło. Tadek pewnie nie dotarł z telegramem. Listonosz nasz. Wiecznie mu się auto psuje i tak to jest potem. A to ci historia! Ale wszystko w porządku, pamiętam, pamiętam. Ojciec, jak był tu w zeszłym roku z bratem twoim, to mówił, żeś na koniach na wsi i że na pewno cię musi tutaj przysłać, bo zachwycony był okolicą. Mówił, że masz swojego konia i że jeździsz, że historia! Tak, pamiętam, pamiętam. A pani – zwróciła się do mnie – też ma swojego konia, jak widzę?

– Proszę mi mówić po imieniu. Nie, obydwa konie należą do Patrycji. W ubiegłym roku byłyśmy w Modrolasku, to taka maleńka wieś. Tam zabrałyśmy Dagmara. Ale on to jest wyścigowiec, nie sprawdziłby się w górach. Te tutaj to hucyły, Pionier i Kulka.

– Hucyły? Cha, cha, cha! A to ci historia! Toście drzewo do lasu przywiozły! Cha, cha, cha! Wejdźcie, wejdźcie, już wrota otwieram. Szmata drogi za wami. Nic nie mam przygotowane, bo i się nie spodziewałam przez tego Tadka nieszczonego. Ale to nic. Nie, psa się nie bójcie. Hektor ma dwanaście lat już, półgłuchy jest i całkiem ślepy, nic nie robi. Ale podchodzić nie radzę, bo strachliwy jest i ze strachu zaatakować może, choć na oślep. Trzeba zawsze go głośno uprzedzić. Nawet jak z miską do niego idę, to krzyczeć muszę. Krótko go mam, jeszcze nie obłaskawiony. Wzięłam go od takiej starej babki, co umarła. Kobięcina nikogo nie miała, a kto by takie psisko chciał chować.

Pani Bieńkowa, miała około pięćdziesięciu lat, była kobietą tęgiej budowy, szczerą, wesołą i żwawą. Nosila kolorową, kwiecistą chustkę na głowie, czerwony sweter, spódnice w jeszcze żywszych barwach niż chustka i zielone gumowce. Teraz zapędziła dwie krowy (Krasulę i Stokrotkę) do obory, podczas gdy my wyprowadzałyśmy konie z przyczepy. Porozglądały się ciekawie, po czym, niewzruszone niczym, schyliły się ku trawie. Zostawiłyśmy je nieprzywiązane na podwórzu, a same weszłyśmy za gospodynią do domu. Wskazała nam pokój i poszła wydoić krowy.

Zaledwie zdążyłyśmy wypakować rzeczy, a już usłyszałyśmy:

– Dziewczyny! A bojler tam załączcie w łazience, to wam się

woda na kąpiel nagrzej. Patrycja! Na herbatę postaw. Magda! Chodź tutaj, to pokażę, gdzie konie będą.

Byłyśmy mile zaskoczone: przebywałyśmy tu raptem pół godziny, a już czułyśmy się zadomowione.

Wytaszczyłam z samochodu wiaderko witamin, wyłożyłam na trawę siodła i weszłam do obory. Gospodyni siedziała na zydelku, opierała czoło o krowi bok i energicznie ścisnęła krowie wymiona. Mleko sikało do wiadra, tworząc pianę. Wokół niej siedział wianuszek pięciu różnomaścistych kotów. Wszystkie wpatrywały się jak zahipnotyzowane w białe strugi. Gdyby wejść w ten krąg spojrzeń, niewątpliwie odczułoby się fizyczny ból, tak były przesywające. Nagle koty śmignęły pod ścianę, przy której stało kilka spodeczków. Domyśliłam się, że dojenie dobiega końca i małe chytrusy, nauczone doświadczeniem, doskonale wiedzą, jaka jest kolejność rzeczy. Faktycznie, jeszcze kilka sekund i pani Bieńkowa wstała. Przelała mleko do kany*, następnie poczęstowała kociarnię, wskazała mi w przestronnej oborze miejsce dla huculków i komórkę na nasz sprzęt jeździecki. Następnie poleciła mi „uwolnić krowom ogony”, bowiem na czas dojenia każda krowa miała sznurkiem przywiązany ogon do własnej nogi.

Tymczasem Patrycja wysprzątała auto i przyczepę. Rzuciła psu ostatnią kanapkę z podróży. Hektor usiadł i długo węszył, zanim w końcu znalazł chleb leżący tuż obok. Zauważyłam, że jest zaniedbany. Długa sierść, posklejana w strąki sięgające ziemi, najwyraźniej nigdy nie była czesana. Biedak, co chwilę się drapał i szarpał zębami kłaki. Teraz jeszcze był okropnie brudny, bo po deszczu wokół jego budy utworzyła się błotna kałuża. Nie wiedziałam jeszcze jak, ale postanowiłam, że się tym zajmę jak najszybciej.

– Spójrzcie, dziewczyny! Tęcza! O, no to może na pogodę się zapowiada. Od początku lipca zimno i pogoda w kratkę, że historia. Może jednak będziecie miały szczęście. Teraz chodźcie na jajecznicę, jak człowiek najedzony, to tęczę ciągle będzie widział, cha, cha, cha.

Po obfitej kolacji wykapałyśmy się i ogarnęła nas taka błogość

*Kana: kanka, bańka



i senność, że mało brakowało, a przespałybyśmy ten pierwszy wieczór w Bieszczadach. A przecież chcieliśmy nacieszyć się każdą chwilą tu spędzoną. Nie możemy zmarnować tego na sen. Na to jeszcze będzie czas. Ubrałyśmy się zatem ciepło i poszłyśmy na spacer.

Bitą drogą prowadziła łagodnie pod górę. Milczałyśmy, chłonąc rześkie powietrze, słuchając naszych kroków i dźwięku toczących się małych kamyczków, które umykały nam spod nóg. Dotarłyśmy do rzeki. Była zmacona, ciemnożółta, wartka. Trochę dalej tworzyła rozlewisko, najwidoczniej głębokie, bo woda była tu spokojna. Na jej powierzchni pływały leniwie listki i małe patyczki. Na brzegu leżało kilka dużych kamieni, obeschły już, więc usiadłyśmy na nich. Góry parowały wilgocią. Gęsta mgła unosiła się, stanowiąc niejako kurtynę, która odslaniała powoli widok. Ostatnie promienie słońca walczyły z ciężkimi chmurami, a bardzo wysoko na niebie, jakby zawieszony na niewidzialnej nici, szybował jastrząb, zapewne wypatrując ofiary. Wydało nam się nieprawdopodobne, że jeszcze rano stałyśmy w miejskim korku.

Wróciłyśmy do „Hektorówki”, jak ochrzciłyśmy gospodarstwo pani Bieńkowej. Śmiała się serdecznie, usłyszawszy tę nazwę.

Zmrok zapadł w jednej chwili i gdy pogasiłyśmy światła w obozrze, nastąpiła taka ciemność, do jakiej nikt w mieście nie jest przyzwyczajony. Napoiłyśmy nasze konie, zadałyśmy im siana i udałyśmy się na spoczynek. Mocny sen przyszedł natychmiast.

* * *

Niedzielny poranek obudził nas przenikliwym chłodem. Dobrze, że pani Łucja zaopatrzyła nas dodatkowo w koce. Teraz naciągnęłyśmy je na śpiwory i czekałyśmy, aż nas rozgrzeją. Na niewiele się to zdało; trzeba było wstać i ubrać się. Patrycja wygrzebała się pierwsza. Spała w polarze i mimo to szczękała zębami. Na dodatek miała chrypkę. Zapewniła, że to ze zmiany klimatu, że zawsze tak ma na początku. Kiedy otworzyła drzwi, buchnęło w nas ciepło. W całym domu była wysoka temperatura, gdyż gospodyni już o świcie rozpałała w piecu w kuchni, tylko my się tak odseparowałyśmy. Akurat zajrzała do nas:

– No, jak się spało? Cha, cha, cha! Te miejskie zwyczaje. Ja to zawsze się śmieję z miastowych, że uparcie zasłony zasłaniają, a tu wokoło tylko lasy! Nie tak jak u was: tylko bloki i każdy każdemu w okna zagłada, że historia. Jakbyście się tak nie chowały, to i ciepło by było, i jasność by was obudziła. Koniom waszym siana podrzuciłam, ale resztę to same zróbcie.

– Oczywiście, dziękujemy. Aż wstyd, że musiała nas pani wyśczać. Ale tak tu się śpi dobrze. . .

– A, śpijcie, śpijcie, na wasze zdrowie. Każdy wypoczywa, jak mu wygodnie. Jeszcze tego brakowało, żebyście mi się musiały tłumaczyć. Krowom dawałam, to przecież i koniom wrzuciłam. Jakbyście chciały do kościoła jechać, to na południową mszę możecie bez problemu zdążyć. Chodź za mną, Patrycja, to ci pokażę jak dom zamykać, bo ja już teraz do kościoła idę, na dziewiątą. Zabieram się autem, niedługo po mnie siostra ze szwagrem ma wstąpić. Wiecie, jak do miasteczka trafić? Wiecie, bo przecież musiałyście przejeżdżać. . .